

Uganda – dryfując między kontrastami

1 lutego 2011

W Ugandzie spędziłem kilka miesięcy pracując jako animator kultury i niezależny reporter obserwując jej życie społeczno-polityczne. Pojechałem tam w ramach europejskiego programu edukacji globalnej GLEN [1]. Muszę przyznać, że myśli tu pracują inaczej. Refleksje galopują po głowie. Po ulicach często chodziłem jak zahipnotyzowany, ale poczyniłem wiele obserwacji.



Powiadają, że modernizacja jest motorem rozwoju. Dużo w tym prawdy. Europa czy Ameryka Północna nie byłyby tu gdzie są, gdyby nie nowoczesna technologia informacyjna i rozwinięte systemy komunikacji. Ma to swoje dobre i złe strony, jak wszystko, ale nic nie jest czarne albo białe. Rzecz w tym, że jeśli myślimy poważnie o współpracy rozwojowej z Afryką czy krajami Południa w ogóle, wymaga to olbrzymiej, niewyobrażalnej pracy u podstaw. Pytanie tylko jak to robić,

bo na pewno robić warto, nie naruszając delikatnej, wyjątkowej, wielopoziomowej tkanki kultury afrykańskiej? Jak to robić nie niszcząc jej niepowtarzalności i różnorodności?

KAWA

Uganda eksportuje surową kawę, ale finansowanie jej produkcji jest już zbyt kosztowne dla ułomnej ugandyjskiej gospodarki. Dlatego nie łatwo jest napić się kawy w Ugandzie. Jeśli uda się już znaleźć kawiarnię, w której faktycznie podają kawę, to przeważnie jest to jakaś zachodnia kawa a w zasadzie dominuje jeden jej rodzaj – Nescafe należąca do ponadnarodowej multikorporacji Nestle znanej z wielu naruszeń praw pracowniczych, praw człowieka i destrukcji środowiska [2]. Swoją dominacją na rynku, korporacyjna kawa skutecznie ogranicza szerokie możliwości produkcji rodzimej kawy. Tym samym, produkcja kawy w (trzecim) świecie zwyczajnie się nie opłaca. Kawa Nestle, subsydiowana przez Unię Europejską, jest dwa razy tańsza niż kawa wyprodukowana lokalnie. Ugandyjscy producenci kawy zatem, nie mają szans na zarobek w obliczu taniej i łatwo dostępnej kawy z zachodu.

Dopiero tu, w Afryce, można uświadomić sobie siłę zachodniej dominacji i jej bezwzględnej ingerencji w niemal każdą dziedzinę życia. Europejskie, północnoamerykańskie i dalekowschodnie koncerny miażdżą lokalne rynki zalewając je tanimi, subsydiowanymi produktami. Rządy tych państw i powiązane z nimi korporacje, lobby finansowe i maklerzy giełdowi figurujący w zarządach międzynarodowych organizacji odpowiedzialnych za współpracę rozwojową i zadłużenie krajów rozwijających się, forsują regulacje finansowo handlowe korzystne dla eksportu krajów, które reprezentują. Na międzynarodowych forach ekonomicznych, garstka delegatów z krajów Południa nie ma najmniejszych szans w starciu z liczną reprezentacją ośmiu najbardziej rozwiniętych krajów świata. Dzięki temu, oraz lobbingsowi ponadnarodowych korporacji, Zachód w zasadzie bez istotniejszych ograniczeń może podbijać rozwijające się rynki Afryki, Azji czy Ameryki Łacińskiej

degradując i obezwładniając ich lokalny potencjał. Z drugiej strony, Zachód skutecznie blokuje trzecioświatowy eksport międzynarodowymi porozumieniami, konwencjami i restrykcjami (patrz: EPA's – Economic Partnership Agreement [3]) chroniąc tym samym swoje bogate i stabilne rynki przed zalewem tanimi produktami z krajów rozwijających się...

POLITYKA

Rządy prezydenta Yoveriego Museveniego – prezydenta Ugandy – to „demokratyczna„ dyktatura oparta na strachu i sztucznym uwielbieniu dla wodza, którego podobiznę można znaleźć niemal w każdym zakamarku ugandyjskich wsi, miast i miasteczek. Do trzymania ludzi w ryzach służy ciężko wyposażona armia i policja finansowana, jak cały reżim, z brytyjskich pieniędzy. Sytuacja polityczna robi się powoli zbieżna z tą w Zimbabwe, gdzie prezydent Robert Mugabe, pierwotnie symbol i ostoja wolności oraz demokracji, po dekadach sprawowania władzy (faktycznie od niepodległości państwa po zmianie nazwy z Południowej Rodezji na Zimbabwe w 1980 roku), przeobraża się w dyktatora i zamordystę.

Trzymanie skorumpowanej władzy ugandyjskiej na garnuszku Wielkiej Brytanii ma oczywiście swoją cenę. Ale każdy kij ma dwa końce. Finansowanie reżimu Museveniego przez kolejne rządy Zjednoczonego Królestwa to gwarancja posłuszeństwa Koronie Brytyjskiej oraz pewność, że wszelkie oznaki wyrwania się spod brytyjskiej dominacji zostaną odpowiednio stłumione a zbuntowana ludność spacyfikowana. Wydatki jakie ponosi Korona na utrzymywanie służalczego w stosunku do niej rządu Ugandy wydają się igraszką, w obliczu zysków jakie czerpie administracja Gordona Browna (i jakie czerpała poprzednia Tony'ego Blair'a [4]) oraz powiązane z nią korporacje (jak British Petroleum) z powolnej dewastacji kraju. Gra polega na gromadzeniu zysków wynikających z eksploatacji taniej ugandyjskiej siły roboczej zarówno przez korporacje zachodnie (Shell) jak i azjatyckie (indyjski koncern Kinyara); na rozbijaniu lokalnych rynków zbytu subsydiowanymi przez USA i

Unie Europejską produktami eksportowanymi do najbiedniejszych krajów Afryki, w tym do Ugandy (chociażby Nestle czy Coca-Cola); na lobbowaniu w kierunku drapieżnej prywatyzacji gwarantującej kontrolowanie zysków płynących z naturalnych zasobów kraju (kawa, złoto, miedź).

KTÓRĘDY DROGA?

Ugandyjczycy mają przeciwko czemu się jednoczyć, ale zawsze brakuje im zapału i chęci. Są tchórzliwi i nieufni do siebie na wzajem. Podzieleni, nazbyt zmęczeni i niedostatecznie umotywowani. W tym kontekście, zjednoczenie Afryki to utopia. Zion, w który tak głęboko wierzył Bob Marley, legendarny jamajski muzyk o afrykańskich korzeniach, okazał się mitem. I mitem już na zawsze pozostanie jeśli naród afrykański nie zdoła się przebić przez letarg w jakim się znalazł. Największym problemem Afryki jest uzależnienie od zachodu, w które to uzależnienie zachód ją świadomie wpędza nakręcając swoje bogactwo za cenę jej biedy. Z moich rozmów i obserwacji wynika, że stupor, w jaki popadli Afrykańczycy wynika z podwójnej pułapki: pierwsza to Zachód, który zawsze wspomógł w zamian za gwarancje pewnych kompromisów, często etycznie niedopuszczalnych, ale finansowo korzystnych dla elit rządzących (bo bynajmniej nie dla ludzi zależnych od decyzji tychże elit). Innymi słowy, po co się wysilać na wspólna odpowiedzialność skoro zachód może przyjechać i wygrzebać nas z tarapatów. Drugi czynnik, który utrudnia Afrykańczykom i Afrykankom zrobienie kroku na przód to religia. Afrykańczycy są głęboko przekonani, że wszystko jest w rękach boga (łącznie z wyleczeniem z nieuleczalnej choroby Aids) a oni sami nie są w stanie nic zrobić. Pozostaje zatem tylko czekać na wyroki boskie i z pokora je przyjmować bez najmniejszej próby ich kwestionowania. (Z podobną sytuacją mamy do czynienia w Ameryce Łacińskiej).

Zion będzie możliwy gdy Afryka na prawdę, poważnie i odpowiedzialnie się zjednoczy i stworzy front oporu przeciwko władzy słuźalczej wobec zachodu; gdy naród Afrykański przejmie

inicjatywę i podjąć wyzwanie odpowiedzialności za swój los wolny od europejskich demagogów i północnoamerykańskich specjalistów; gdy zrozumie, że siła zwycięstwa leży w samorządności, w samoorganizacji i w oddolnych działaniach, które gwarantują stworzenie wolnego i sprawiedliwego społeczeństwa. Zion przestanie być iluzją, gdy Afrykańczycy wreszcie otworzą oczy i otrząsną się z apatii; gdy dostrzegą, że pępowina, którą są zrośnięci z Zachodem, tłoczy więcej trucizny w ich żyły niż substancji odżywczych; że kościół czerpie korzyści z ich bogobojności i bezgranicznego zaufania utwierdzając ich w mylnym przekonaniu, że nie mają wpływu na swoje życie. Wreszcie, Zion przestanie być mitem gdy Afryka powie głośno DOŚĆ! Dość wyzyskowi, uzależnieniu, neokolonializmowi i współczesnemu niewolnictwu; gdy zażąda od Zachodu partnerstwa a nie dominacji i protekcjonizmu, współpracy a nie współzawodnictwa, i bez strachu wypracuje taki system organizacji społecznej i ekonomicznej, który pozwoli połączyć tradycje Afryki z zasadami społeczno ekonomicznymi Zachodu, albo nawet je prześcignie.

UGANDYJSKIE OBOZY DLA WEWNĘTRZNIE INTERNOWANYCH – NIEWYGODNE DLA WŁADZY

Wojna domowa w Ugandzie jest porównywalna do zbrodni hitlerowskiej na Żydach, tureckiej na Ormianach czy rosyjskiej na Czechenach. Jest ponad to konfliktem zapomnianym jak ten na Birmie czy w Somalii. Żadne zachodnie mocarstwo się nim szczególnie nie interesuje, gdyż siły militarne tak chętnie interweniujące na Bliskim Wschodzie czy Bałkanach nie mają w nim wyraźnego interesu. Wojna w Północnej Ugandzie toczy się między rebeliantami Armii Oporu Pana (Lord's Resistance Army – LRA) z plemienia Acholi a rządem ugandyjskim oraz niewiernymi plemiennymi pobratymcami. Po nawiązaniu współpracy z rządem południowego Sudanu w szeregach bożych wataszków obok chrześcijan stanęli muzułmanie. Pod przywództwem samozwańczego proroka Josepha Konyego, rebelianci LRA odpowiedzialni za zbrodnie przeciwko ludzkości, od 22 lat próbują bezskutecznie

opanować i nawrócić północne obszary Ugandy zamieszkane głównie przez lud Acholi. Na skutek konfliktu ucierpiały setki tysięcy ludzi. Rebelianci z LRA dziesiątkowali (aktualnie formalnie przestali) wsie i miasta wcielając siłą do swojej armii dzieci nakazując im zabijać swoje niewierne rodziny i przyjaciół. Tylko ten i ta Acholi byli prawdziwi, którzy i które uznali i uznały Konyego za swojego proroka. Wojna została wytoczona nie tyle przeciwko rządowi, co siłom zła, za którymi stała administracja prezydenta Yoweriego Museveniego (wywodzącego się z niewiernego plemienia Nkole, południowych ludów Bantu) oraz niewierne siostry i bracia. Jest to tak dramatyczna sytuacja, której nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić nawet z najbardziej szczegółowego opisu.

Od 2006 roku, gdy rebelianci i strona rządowa podjęli rozmowy pokojowe w Jubie [5], stolicy południowego Sudanu, sytuacja w północnej Ugandzie w żaden sposób nie gwarantuje bezpieczeństwa. Tym bardziej, że finał tych rozmów stoi pod znakiem zapytania [6]. Ludzie boją się wracać do swoich domów na północy kraju. Wybierają pozostanie w obozach dla wewnętrznie internowanych z powodu konfliktu (są to tzw, IDPs – Internal Displaced People). Sytuacja jest trudna: z jednej strony rząd chce jak najszybciej się ich pozbyć i zlikwidować obozy, z drugiej strony wciąż nie ma gwarancji pokoju a często i ludziom się nie spieszy z powrotem – w obozach niejednokrotnie mają lepiej niż w miejscach, gdzie wcześniej mieszkali. W Ugandzie mówi się, że rząd „zachęca IDP’s do powrotu do domu„ („The government encourages IDP’s to go back home„) jak to przedstawił mi Jimmy Okot, jeden z pracowników Ugandyjskiego Czerwonego Krzyża w Sztabie Kryzysowym organizacji. Sprowadza to się do tego, że gabinet Museveniego blokuje działania organizacji pozarządowych mających na celu wspieranie obozów zaopatrując je w żywność i środki higieniczne oraz zapewniając im podstawową infrastrukturę sanitarną.

0 trudnościach z jakimi borykają się obozy dla osób

wewnętrznie internowanych opowiedział mi Francis Olupot, szef obozu Obuku w dystrykcie Soroti na północnym wschodzie kraju. Pierwotnie moja wizyta w mieście Soroti dotyczyła konferencji nt. rozwiązywania konfliktów przez młodzież, zorganizowanej przez stowarzyszenie CRY [7] (Conflicts Resolutions by Youth). Jako, że konferencja okazała się bardziej spotkaniem dotyczącym wewnętrznych struktur organizacji, skorzystałem z przerwy by wymknąć się do Obozu Obuku. Byłem jednym z nielicznych białych, jacy odwiedzili obóz. Okazało się również, że rzadko ktoś tu zagląda by porozmawiać czy zainteresować się sytuacją mieszkańców obozu. Francis nie ukrywał, że największym zmartwieniem jest niedobór wody. Dwie studzienki na ponad sześciotysięczną społeczność obozu to zdecydowanie za mało.

Obóz istnieje od 2003 roku a miejsce na jego zorganizowanie przydzielił rząd Ugandy. Obóz jest zadbany, wszystkie chaty zbudowali mieszkańcy z środków własnych oraz dzięki pomocy międzynarodowych organizacji humanitarnych. Mają swój rynek handlowy, produkują cegły i uprawiają rośliny na sprzedaż. Sami sobie radzą z utylizacją odpadów i nieczystości. Część osób jeździ do miasta wykonując drobne prace kierowców rowerowych (boda-boda drivers), ulicznych handlarzy czy pracowników najemnych przy budowach i remontach.

Pojawia się tu dodatkowo problem mieszania się społeczności miasta z obozową. Nie wiadomo kto jest internowany, a kto po prostu chce się "załapać" na "dary" z pomocy humanitarnej. Spisu ludności w obozie nikt nie prowadzi. Trudno potem ludzi dzielić na tych „z obozu,” i na tych „z poza obozu,”. Każda taka segregacja rodzi konflikt. Jimmy z Czerwonego Krzyża wspominał, że koce i inne środki pomocowe znajdowali następnego dnia po dostarczeniu, w mieście na targu i ulicznych straganach. Z drugiej strony trudno się tym ludziom dziwić, każdy i każda z nich chce przeżyć i przejść przez życie w najlepszym stylu. Każdy i każda z nich chętnie zostanie tam, gdzie lepiej się żyje i skorzysta z sytuacji, by

wyrwać tyle grosza, ile się da. Ludzie ci doskonale wiedza, co to znaczy rozpaczliwa bieda i walka o przetrwanie na poziomie bardzo podstawowym.

Spośród kilku organizacji humanitarnych stale działających na terenie Ugandy, takich jak Action Aid (AA), Uganda Red Cross Society (URCS), Oxfam czy World Vision (WV), tylko ta ostatnia wspiera aktualnie Obuku Camp oraz, w minimalnym wymiarze, rząd.

Pośród kilku obozów jakie udało mi się odwiedzić, szczególnie zapamiętałem jeden w północnym dystrykcie Gulu gdzie poznałem przemiłego młodego człowieka Francisa, który oprowadził mnie po zakamarkach obozu. Chaty, toalety, spiżarnie i suszarnie tytoniu zbudowali sami. Nie mają prądu. Mieszka tam ponad 16 tys ludzi. Przypomina to wielką wioskę. 6 studni z wodą, 38 stopni w cieniu. Od świtu do 5 lub 6 po południu pracują w polu, w ogrodach – jak je nazywają. Zbierają głównie tytoń i fistaszki. Mają centrum medyczne, szkołę podstawową i coś na kształt domu kultury: budynek z trzema pomieszczeniami i boisko do gry. Cześć dzieci i młodzieży zaangażowana jest w tradycyjny zespół taneczno-muzyczny. Ludzie uśmiechnięci, ale w oczach można dojrzeć rozpacz i ogromny trud życia. Dokładnie to samo co u nas na Śląsku albo Kresach... Ludzie nieludzko spracowani, spaleni słońcem, wygłodzeni, wykończeni życiem. Młodzi wyglądają jak starzy, starych bardzo mało. Chudzi, niedożywieni, niepiśmienni. Ale żyją, bo taka jest kolej rzeczy.

Rzeczywistość obozowa jest dramatyczna. Ludzie jednak się cieszą tym, co mają a mają niewiele i więcej mieć nie będą. Gdyby nie ich głębokie przekonanie do życia i akceptacja istnienia jako naturalnej, niezbywalnej i konsekwentnej ciągłości świata dawno by już ich nie było. Szczera radość życia, pomimo że na taflí biedy i nieurodzaju ziemi chroni ich przed doszczętnym wyniszczeniem. Gdy spacerowałem pomiędzy obozowymi chatami, suszarniami i płachtami prażących się na słońcu orzechów, pośród rozbiegających się w amoku dzieci,

czułem się swobodnie, wygodnie, w jakimś sensie – szczęśliwie. Gdybym opuścił obóz po takim spacerze, niczego bym się nie dowiedział. Informacja o ludziach mieszkających w obozach i ich życiu płynęła z rozmów i z oczu... Słowa często były bardzo oszczędne, dopiero oczy dopowiadały resztę historii.

KAMPALA – MIASTO KONTROLOWANEGO CHAOSU

Uganda to rażąco biedny kraj. Przepaść między bogatymi a biednymi jest ogromna, nieporównywalna do żadnego miejsca w zachodniej Europie. W mieście kompletny bałagan, albo chaos pozorny bo pomimo doszczętnego rozkładu zasad ruchu drogowego, miasto jakoś działa. Ruch uliczny jest nie do opisanego. Żadne zasady tu nie obowiązują, ale można odnieść silne wrażenie, że niewiele kogo to przejmie. Nikt na nikogo nie psioczy, nie narzeka. Całe miasto tonie w olbrzymim brudzie, rzecz nie do wiary. Wszystko jest na wpół rozpadająco-rozsypujące się. Tylko kilka budynków jest w jednym kawałku, parę banków, poczta, centrum biznesu, wszystko. Cała reszta wygląda jak nasza biedna, post peerelowska zapomniana prowincja...

W innych ugandyjskich miastach jak Kabale, Mbarara czy Jinja również rozgardiasz nie z tej ziemi. Większość budynków rozpadająca się, brudna, odrapana. Sklepiki to w większości klitki a całe życie toczy się na ulicy. Rzecz zupełnie niesłychana: przez każdy centymetr ulicy, chodnika, wysepki, krawężnika przewalają się zwały śmieci i tabuny ludzi. Ludzka dżungla. Przebić się przez bazar to nie lada wyczyn. Każda uliczka, co do jednej, obłożona, obstawiona straganami i stoiskami. Wystarczy kawałek płótna na chodniku. Na płótnie rozłożony towar. Głównie gazety, zegarki, stare książki, buty, radyjka, telefony. Na ulicy również można się ostrzyc i ogolić, wypastować lub wyszorować buty, naprawić zegarek, skroić sobie koszulę, zważyć się albo zrobić manicure. Wszędzie tysiące ludzi. Przy pierwszym kontakcie z miastem zawrót głowy gwarantowany. Jest to tak odmienne od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni w Europie, że żaden opis nie zastąpi bezpośredniego doświadczenia. Samochody, w większości

porysowane i poobijane, starają się zająć każdy możliwy centymetr ulicy. Często odnosiłem wrażenie, że samochody tutaj, to wcale nie samochody, tylko jakieś dziwne pojazdy poruszające się w nieskoordynowanym rytmie. Nie wiele ma to wspólnego z jazdą samochodem, z jaką mamy do czynienia w Europie. Na tym tle nauka jazdy wydaje się samobójstwem, ale po takim przeszkoleniu, żadna sytuacja na drodze nas nie zaskoczy. Kobiet za kierownicą niewiele. Poszczególne przypadki. Wiem, bo zwracałem na to uwagę. Wszelkie znaki drogowe wydają się farsą, robią wrażenie przedmiotów zupełnie nie na miejscu. Tak, jakby ktoś postawił je tam dla żartu. Zresztą jak już są, to często zniszczone i ledwo widoczne.

Chodniki występują sporadycznie, dominuje rudobrazowa ubita ziemia, ewentualnie błoto. Doły głębokości człowieka pojawiające się na ubogich chodnikach nie stanowią niespodzianki. Dziury chodnikowe są nie oznaczone ani zabezpieczone. Trzeba być czujnym wędrując przez miasto. Wszędzie rozsypujące się kamienice, obdrapane sklepiki, wałące się budy i budowy w trudnej do określenia pozycji konstrukcji bądź dekonstrukcji. Całe miasto, to swego rodzaju zjawisko. Nie sposób opisać, trzeba zobaczyć. Można je pokochać albo znienawidzić. I gdzie nie gdzie tylko wyłaniające się z brudu, kurzu, biedy i odpadków wyspy zamożności i bogactwa: banki, drogie restauracje dla ugandyjskich bogaczy i białych, salony samochodów i placówki operatorów sieci komórkowej. A wszystko to wygląda jak groteska, jakby ktoś żarty sobie robił tymi bankami i salonami by jeszcze bardziej ośmieszyć biednych mieszkańców Kampali.

Na ulicy można kupić wszystko. Centrum Kampali to w zasadzie taka mieszanka warszawskich bazaru Różyckiego, Olimpii i nieistniejącego już Jarmarku Europa. Niski standard życia sprawia, że każdy chce zarobić i staje na głowie by sprzedać wszystko, co jest możliwe do sprzedania. Siedząc w taksówce w oczekiwaniu na odjazd, od wędrownych handlarzy można kupić od lizaka i jajek przez zegarek i torby foliowe po buty i

przenośne radia.

Policja na ulicach jest dobrze widoczna i nie trzeba być bystrzącą by się zorientować, że dany człowiek należy do służb mundurowych. Osobiście widziałem może trzy kobiety policjantki. Policję można często spotkać przed bankami i innymi publicznymi instytucjami. Zawsze są wyposażeni w ciężki, okazały karabin maszynowy. Dużo też jest wojskowych i ochroniarzy z prywatnych firm ochroniarskich (widziałem kilka kobiet w ochronie). Policja często kieruje ruchem, ale robią wrażenie jakby nie bardzo wiedzieli/wiedziały, po co tam stoją. Zresztą nie reagują na ludzi przechodzących na czerwonym świetle ani na samochody łamiące zasady ruchu drogowego. Uśmiechają się tylko i pokazują, żeby jechać dalej. Sygnalizacja świetlna sprawia wrażenie ulicznej ozdoby imitującej sygnalizację.

Również przed każdym lepiej wyglądającym sklepem, salonem czy punktem usługowym wyraźnie skierowanym do zamożnej części społeczeństwa, zawsze ustawiony jest człowiek, mężczyzna w mundurze lub innym mundur przypominającym uniformie, wyposażony w ciężki karabin maszynowy. Muszę przyznać, że robi to wrażenie. Policjanci zawsze są nadzwyczaj mili, szczególnie dla białych, ale wyglądają groźnie i bynajmniej niezachęcająco na pogawędkę.

Nie trzeba być wyjątkowo bystrym obserwatorem życia codziennego w Ugandzie, by się łatwo zorientować, że rozwarstwienie społeczne jest przeogromne. Istnieje klasa wyższa i niższa. Albo jesteś bogaczem, albo nędzarzem. Odsetek jaki stanowi tzw. klasa średnia jest tak nikły, że trudno coś więcej o niej napisać. Przeważnie są to ludzie na szeroko pojętych usługach klasy wyższej mający/mające aspiracje awansowania do klasy, której usługują. Biedacy z kolei robią swoje, walczą o przetrwanie i na tym zasadza się w dużej mierze ich egzystencja. Jak wszędzie na świecie. Z nich to głównie składa się społeczeństwo Ugandy i Afryki w ogóle. Nie trudno się również zorientować, że ci Ugandyjczycy, którym się

trochę lepiej powodzi, traktują pozostałych, których płace plasują się poniżej średniej krajowej (150 euro), jak obywateli gorszego sortu... Jednocześnie, wszyscy żyją razem koło siebie, w jednym mrowisku jakby nigdy nic. Często można spotkać bogate rezydencje pomiędzy semislumsami. A każdy lepszy dom, otoczony jest potężnym murem zakończonym drutem kolczastym lub, ale i przeważnie, tłuczonym szkłem powtykanym w zwieńczenie płotu. Widok jest na prawdę mocny. Murowi zawsze towarzyszy potężna stalowa brama (nawiasem mówiąc, jeden z bardziej chodliwych towarów na ugandyjskim rynku).

Pomimo tych niespójności i absurdów, życie tu jakoś powoli się toczy. Nikt nigdzie się nie spieszy, nigdzie nie pędzi. Wszyscy na coś jakby czekają, czegoś wyczekują. Czego? Nie wiem, nie miałem odwagi zapytać.

Autor: Łukasz Wójcicki

Zdjęcie: [Ed](#)

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPISY

[1] <http://www.glen-europe.org/>

[2] Zobacz: <http://www.corporatewatch.org/?lid=240#babymilk>

[3] Zobacz: <http://allafrica.com/stories/200709180685.html> oraz <http://www.igo.org.pl/?news=200706032305>

[4] Zobacz:
http://findarticle.com/p/articles/mi_qa5391/is_200205/ai_n21311831

[5] W sierpniu 2006 na rozmowach pokojowych w Jubie strona rządowa była reprezentowana przez polityków pod przywództwem Ministra Spraw Zagranicznych Dr. Ruhakana Rugunda. Delegacja LRA wystawiła swoje polityczne ramię pod kierunkiem Dr. Davida Matsanga. Mediacjom przewodniczył wiceprezydent Południowego Sudanu Dr. Riek Machar (tłum. własne za:

http://www.usip.org/pubs/usipeace_briefings/2008/0204_uganda.html)

[6] „Rebeliancki przywódca wielokrotnie powtarzał, iż nie zgadza się na zawarcie porozumienia dopóki Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze nie wycofa wystawionego za nim nakazu aresztowania.” (cyt za: <http://www.psz.pl/tekst-16384/Nie-ustaja-mordy-w-polnocnym-Kongo>)

[7] <http://cryuganda.org/>